

Biblijny dramat między salonem a kuchnią

PREMIERA

„Salome” Mariusza Trelińskiego atakuje widza sugestywnymi obrazami, wręcz osacza. Jednego tylko brakuje – tytułowej bohaterki.

Kolejna zagraniczna koprodukcja Opery Narodowej i jej dyrektora artystycznego dotarła do Warszawy. „Salome” Richarda Straussa w reżyserii Mariusza Trelińskiego miała premierę półtora roku temu w Pradze, teraz będzie grana u nas.

Ze sceniczną twórczością Straussa, stanowiącą filar światowego repertuaru, polski widz obcuje zbyt rzadko. Pojawienie się „Salome” powinno cieszyć, tyle że to już trzecia jej warszawska inscenizacja w ostatnim ćwierćwieczu, a inne opery Straussa nie były tu nigdy wystawiane.



KRZYSZTOF BIELIŃSKI/TW-ON

◀ **Erika Sunnegardh** jako tytułowa bohaterka spektaklu w Operze Narodowej

zmysłowy taniec – uwieczniło wielu malarzy i pisarzy. Jest bohaterką w teatrze i filmie, a genialność Straussa polega na tym, że skomplikowany, niejednoznaczny jej portret kompozytor przekazał w operze trwającej 90 minut.

W spektaklu Mariusza Trelińskiego akcja przeniosła się do współczesności. Reżyser zachował jednak coś istotniejszego dla Straussa niż historyczny kostium: atmosferę dusznej, parnej nocy, która rozpala zmysły, drażni i niemal więzi bohaterów.

We wspaniałej scenografii Borisa Kudlički bujna roślinność pałacowych ogrodów widoczna jest tylko z tyłu, ale wydaje się, że wdziera się ona, osaczając wszystkich. Akcja z filmową precyzją przenosi się do kolejnych wnętrz – od salonu do kuchni.

Mariusz Treliński odrzucił całą inscenizacyjną tradycję. Nie ma więc słynnego tańca siedmiu zasłon, tak bulwersującego widzów w początkach XX wieku. Porywającej, coraz bardziej gwałtownej muzyce towarzyszą obrazy pokazujące dawne, skomplikowane relacje (także seksualne) między Salome dziewczynką a ojczymem Herodem. Ten ryzykowny pomysł został tak przedstawiony, że robi duże wrażenie.

Spektakl jest precyzyjny, z wyraziście nakreślonymi relacjami między postaciami. Eskalację podskórnego napięcia buduje też Stefan Soltesz, prowadząc orkiestrę z dyscypliną i dbając, by wydobyć każdy szczegół tej skomplikowanej partytury.

Zdecydowanie natomiast brakuje Salome, bo Erika Sunnegardh została wybrana

ze względu na walory aktorskie, a nie wokalne. Jej sopran jest zbyt mało dramatyczny, zatem finałowa kulminacja, zamiast wstrząsnąć widzem, zaczyna nużyć. Głos o znacznie ładniejszej barwie ma baryton Jacek Strauch, ale też nie na tyle silny, by przebił się w każdym momencie do widza. Na dodatek w tym spektaklu prorok Jochanaan śpiewa wyłącznie w kulisach, co zaciera jego rolę w tragedii.

Ta „Salome” jest przede wszystkim spektaklem Jacka Laszczkowskiego, który tworzy sugestywny portret Heroda – prymitywnego mężczyzny wyniesionego na szczyty władzy, brutala, ale pełnego kompleksów i pożądanego Salome. Nietypowa to postać w teatrze operowym, ale będzie się o niej długo pamiętać. ©

–Jacek Marczyński